



Quo vadis, autorze

Fahrenheit Crew



Dmitry Glukhovskiy

Czas zmierzchu

Tłum.: Paweł Podmiotko

Insignis 2011

Cena: 39,99 zł

Stron: 398

Napisałam tytuł recenzji i zastygłam w namyśle nad klawiaturą. Nie pomogło. Nadal nie potrafię zrozumieć, jak autor błyskotliwej powieści *Metro 2033* może tak spektakularnie pogrążyć swój talent? A najgorsze jest to, że obdarzony wyobraźnią i zdolnością tworzenia tekstów uporządkowanych, Glukhovskiy potrafi oddać rosyjski klimat, jednocześnie zanudzając czytelnika do tego stopnia, że ów wyje i rwie włosy z głowy.

Akcję tej dość obszernej powieści można streścić jednym zdaniem:

Oderwany od rzeczywistości tłumacz otrzymuje zlecenie przekładu kilkusetletniego tekstu z języka hiszpańskiego, a wokół zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy. Kropka.

Można powiedzieć, że punkt wyjścia całkiem przyzwoity, ale nie rozumiem zupełnie, dlaczego tłumacz, czyli bohater pierwszoosobowy, który liźnął języka hiszpańskiego ledwie przez trzy lata studiów, który to język, zgodnie z myślą autorską, nie był jego głównym kierunkiem wykształcenia, staje się ekspertem w rozwikłaniu tekstu napisanego kilkaset lat temu. Zapraszam w tym miejscu amatora języka angielskiego po trzyletniej szkole do przekładu *Hamleta*, ale tak od podstaw i z obszernym komentarzem dotyczącym realiów czasów opisanych w dramacie.

Ja nie odmawiam autorowi znajomości epoki i języka konkwistadorów, jedynie obnażam kompletną niespójność bohatera, który po owych trzech latach obijania się na wykładach zwyczajnie nie mógł wchłonąć wiedzy będącej osią powieści. Słowem - akcja wali się po pierwszym rozdziale, a dalej jest jeszcze gorzej. Miało być tajemniczo i tak po arbacku. Facet nie ma Internetu, nie ma telewizji i sporadycznie słucha wiadomości radiowych, gotując herbatę w czajniczku babci, i do tego jest człowiekiem w średnim wieku, czyli choćby fragment jego dzieciństwa lub młodości musiał się

nałożyć czasowo na rozkwit zdobyczy techniki. Idąc tym tokiem myślenia, Internet nie jest mu obcy. A teraz pokażcie mi tłumacza, będącego w stanie wieść życie zawodowe w całkowitym oderwaniu od owej krynicy wiedzy wszelakiej.

No i dochodzimy do sedna, czyli pamiętnika konkwistadora, przytaczanego fachowo kursywą na kolejnych stronach powieści. Każdy akapit dziennika rozpoczyna się od słowa „iż”, co jest idiotyczne i zmienia wydźwięk kolejnych zdań. Po dwóch, trzech stronach, przy odrobinie dyscypliny czytania, można „iż” omijać wzrokiem i zagłębiać się w kolejne akapity w poszukiwaniu sensu. I ponownie zgrzyt. To, co elektryzuje tłumacza, bohatera powieści, jest nudnym zapisem wyprawy w głąb tropikalnego lasu. Nie ma najmniejszego uzasadnienia dla histerycznych reakcji i gwałtownych odczuć głównego bohatera. Są one prowokowane przez autora, by utrzymać jakiegokolwiek napięcie u czytelnika.

Muszę z żalem przyznać, że do setnej strony liczyłam, że wreszcie coś się wydarzy, ziewając dyskretnie. W połowie książki prawie usnęłam, a do końca wytrwałam wyłącznie dlatego, żeby drogim czytelnikom rzetelnie przedstawić, jak się ma rzecz.

Wydawcy buńczucznie określają autora rosyjskim Stephenem Kingiem tudzież drugim Mikołajem Gogolem, a omawianą powieść nazywają rosyjską odpowiedzią na twórczość Dana Browna. Pomijam fakt, że rasowy pisarz za to ostatnie porównanie powinien się zwyczajnie obrazić, ale dwa pierwsze określenia nijak nie przystają do rzeczywistości. I dlatego zastanawiam się, quo vadis, autorze? Dlaczego po raz kolejny częstujesz nas złą powieścią, skoro wiemy, że potrafisz napisać rzecz tak błyskotliwą jak Metro 2033 (nie mylić z kontynuacją zatytułowaną Metro 2034, która jest równie słaba jak Czas zmierzchu)?

Quo vadis, panie Glukhovsky?

Jagna Rolska